

ERNEST HEMINGWAY

Rajski ogród

Przełożyła Ewa Borówka

MARGINESY

Rozdział pierwszy

Mieszkali wtedy w Grau-du-Roi, hotelik stał nad kanałem biegnącym od warownego miasta Aigues-Mortes do samego morza. Baszty Aigues-Mortes górowały ponad równiną Camargue i niemal codziennie o różnych porach pedałowali tam graniczącą z kanałem białą drogą. Wieczorami i w poranki, w porze przyptywu, pojawiały się w nim okonie morskie i obserwowali, jak umykające przed nimi gorączkowo barweny wyskakują na powierzchnię, a w czasie ataku okoni woda miejscami kłębi się i wzbiera.

W głąb spokojnego błękitnego morza ciągnęło się molo; wędkowali na nim, pływali przy brzegu i co dzień pomagali rybakom wciągać na rozległą pochyłą plażę długą sieć wypełnioną rybami. Popijali aperitify w narożnej restauracyjce z widokiem na morze i oglądali unoszące się nad Zatoką Lwią żagle kutrów poławiaczy makreli. Kończyła się wiosna, makrele migrowały i portowi rybacy mieli pełne ręce roboty. Miasteczko było przyjazne i tętniące życiem, a młodej parze podobał się hotelik, który na piętrze miał ledwie cztery pokoje, a na dole dwa stoły bilardowe oraz restaurację z oknami wychodzącymi na kanał i latarnię morską. Ich pokój przypominał ten arlejański z obrazów van Gogha, tyle że tu stało podwójne łóżko, a z dwóch dużych okien roztaczał się widok na wodę,

mokradła i połącie trawy morskiej na tle białych zabudowań oraz jasnej plaży w Palavas.

Byli stale głodni, choć jadali wybornie. Rano głód prowadził ich do restauracyjki, gdzie zamawiali brioszkę, jajka i *café au lait*, z przejęciem wybierając rodzaj konfitury i sposób przyrządzenia jajek. Po nocy bywali tak głodni, że przed poranną kawą dziewczyna często cierpiała na ból głowy. Ale kawa pomagała. Dziewczyna piła ją bez cukru i młody mężczyzna starał się o tym pamiętać.

Tego ranka podano brioszkę, konfiturę malinową i jajka na miękko z odrobiną masła, które topiło się, gdy mieszały je z żółtkiem i przyprawiali szczyptą soli oraz pieprzu. Jajka były duże i świeże, a to zaserwowane dziewczynie wyraźnie gotowało się krócej. To mężczyzna zapamiętał bez trudu i delektował się swoim, porcjowanym łyżeczką i tylko zwilżonym masłem oraz posypanym grubo zmielonym pieprzem. Smak wczesnego poranka, gorąca kawa i podawana w miseczce pachnąca cykorią *café au lait*.

Kutry wyszły już daleko w morze. Wypłynęły przed świtem, z pierwszym powiewem wiatru, a mężczyzna i dziewczyna zbudzili się, po czym zwinęli w kłębek w pościeli i zasnęli z powrotem. Gdy na zewnątrz zrobiło się całkiem jasno, lecz pokój tonął jeszcze w cieniu, kochali się w półśnie, później leżeli, zmęczeni i szczęśliwi, a po pewnym czasie kochali się znowu. Po wszystkim tak zgłodnieli, że wątpili, czy dożyją śniadania, a teraz, gdy nastał nowy dzień, siedzieli w restauracyjce i jedli zapatrzeni w odległe żagle.

– O czym myślisz? – spytała dziewczyna.

– O niczym.

– Musisz o czymś myśleć.

– Tylko czuję.

- Co?
- Szczęście.
- A ja jestem głodna. Myślisz, że to normalne? Że gdy człowiek się kocha, to potem tak głodnieje?
- Gdy kocha kogoś.
- O, znasz się na tym.
- Nie.
- Nieważne. Jestem w siódmym niebie, poza tym nie musimy się o nic martwić, prawda?
- O nic.
- A co dzisiaj robimy?
- Nie wiem - odparł. - A co byś chciała?
- Wszystko mi jedno. Jeśli chcesz iść na ryby, to może zajmę się pisaniem listów, a przed lunchem pójdziemy popływać.
- Żeby zgłodnieć?
- Nie zaczynaj. Już głodnieję, a jeszcze nie zjedliśmy śniadania.
- Możemy się zastanowić nad lunchem.
- A co po nim?
- Utniemy sobie drzemkę jak wszystkie grzeczne dzieci.
- To absolutna nowość. Czemu nie wpadliśmy na to wcześniej?
- Miewam przebłyski intuicji. Mam w sobie twórczą moc.
- A ja niszczycielską. Zniszczę cię. Na fasadzie przy naszym pokoju wywieszę tablicę pamiątkową. Zbudzę się w nocy i zrobię ci coś niesłychanego, niewyobrażalnego. Właściwie miałam to zrobić już dzisiaj, ale za bardzo chciało mi się spać.
- Za bardzo chciało ci się spać, żebyś mogła zrobić coś niebezpiecznego.
- Nie daj się zwieść złudnemu poczuciu bezpieczeństwa. Och, skarbie, niech czas szybko upłynie, niech będzie już pora lunchu.

Siedzieli tak w swoich pasiastych marynarskich koszulkach i szortach kupionych w sklepie żeglarskim, mocno opaleni, z włosami przetykanymi blondem, wypłowiałymi od słońca i morskiego powietrza. Większość napotkanych ludzi, nim dowiedziała się, że są małżeństwem, brała ich za rodzeństwo. Niektórzy nie dowierzali ich słowom i dziewczynę ogromnie to cieszyło.

W tamtych czasach niewiele osób spędzało lato nad Morzem Śródziemnym, a już do samego Grau-du-Roi nie przyjeżdżał nikt poza garstką wczasowiczów z Nîmes. Nie było tu kasyna ani innych rozrywek, a i hotel świecił pustkami, poza najgorętszą porą, gdy ściągali do niego amatorzy kąpeli. Koszulek marynarskich się wtedy nie nosiło i nie widział w takim stroju żadnej dziewczyny poza tą, z którą się ożenił. Kupiła je dla nich obojga i uprała w hotelowej umywalce, żeby zmiękły. Były sztywne, przeznaczone do częstego użytku, ale po praniu stały się tak miękkie i delikatne, że gdy patrzył teraz na dziewczynę, jej piersi odznaczały się pięknie pod spraną tkaniną.

Nikt w okolicy nie nosił też szortów i dziewczyna nie mogła ich wkładać na wycieczki rowerowe, ale w samym miasteczku nie miało to większego znaczenia, bo miejscowi byli życzliwi, a krytycznie usposobiony był jedynie ksiądz. Dziewczyna poszła jednak na niedzielną mszę w spódnicy i kaszmirowym swetrze z długimi rękawami, głowę zaś okryła chustą, a młody człowiek stanął w tyle kościoła wraz z innymi mężczyznami. Na tacę dali dwadzieścia franków, wówczas równowartość ponad dolara, a że kapłan zbierał datki osobiście, ich stosunek do Kościoła stał się jasny i chodzenie po miasteczku w szortach traktowano odtąd bardziej jak cudzoziemskie dziwactwo niż zamach na moralność portowych miścin Camargue. Gdy je nosili, ksiądz się do nich nie odzywał, lecz gdy

wieczorami wychodzili w spodniach, uprzejmie odwzajemniał ich ukłon.

– Pójdę na górę popisać listy – oznajmiła dziewczyna, po czym wstała, uśmiechnęła się do kelnera i wyszła z restauracji.

– Monsieur wybiera się na ryby? – spytał kelner, gdy młody człowiek, niejaki David Bourne, wezwał go, żeby zapłacić.

– Chyba tak. Jaki dziś poziom wody?

– W sam raz – odpowiedział kelner. – Mam dla pana przynętę.

– Pozbieram sobie po drodze.

– Nie, proszę wziąć moją. To piaskówki, mam ich pod dostatkiem.

– A pan idzie?

– Mam teraz zmianę, ale może wyjdę na chwilę zobaczyć, jak panu idzie. Ma pan sprzęt?

– W hotelu.

– Proszę wstąpić po robaki.

W hotelu młody człowiek miał ochotę zajrzeć do pokoju, do dziewczyny, ale za kontuarem, gdzie odwieszano klucze, natknął się na swoją długą bambusową tyczkę oraz kosz z resztą ekwipunku wędkarskiego, wyszedł więc z powrotem na zalaną słońcem drogę, zajrzał do restauracji i ruszył w głąb rozjarzonego molo. Słońce prażyło, ale wiała rześka bryza i właśnie zaczynał się odpływ. Mężczyzna pożałował, że nie wziął wędki do błystki i nie może jej zarzucić z końca molo daleko ponad głazami, w nurt kanału. Założył spławik z pióra i korka i zanurzył piaskówkę na domniemanej głębokości żerowania ryb.

Łowił przez pewien czas, obserwując halsujące po błękitnym morzu kutry rybackie i unoszące się na powierzchni wody cienie wysoko zawieszonych chmur. Nagle spławik dał gwałtownie nura, a naprężona linka zaczęła pruć z sy-

kiem wodę i mężczyzna poderwał wędzisko z szamoczącą się pod wodą potężną rybą. Starał się je trzymać jak najsłabiej, choć uparcie kierująca się w głąb morza ryba wygięła tyczkę do granic wytrzymałości linki i przyponu. Mężczyzna szedł za nią po molo, żeby zmniejszyć naprężenie, ale mimo to ryba tak silnie się wyrывała, że wciągnęła pod wodę dobrą ćwierć wędziska.

Z restauracyjki wyszedł ogromnie przejęty kelner i stanąwszy u boku mężczyzny, powtarzał:

– Niech pan trzyma. Niech pan ją trzyma. Jak najdelikatniej. Musi się zmęczyć. Niech pan jej nie pozwoli się wyrwać. Delikatnie z nią. Delikatnie.

Delikatniej już się raczej nie dało, chyba że wszedłby za rybą do wody, a to nie miało sensu, ponieważ kanał był głęboki. Gdybym tylko mógł iść za nią brzegiem, pomyślał. Dotarli jednak do samego końca molo; pod wodą znajdowała się już połowa tyczki.

– Niech pan ostrożnie trzyma – zaklinał go kelner. – To mocny przypon.

Ryba dała nura, szarpnęła i popłynęła zygzakiem, a długie bambusowe wędzisko ugięło się pod jej ciężarem. Potem wybiła się na powierzchnię i ponownie zanurzyła, a młody człowiek poczuł, że choć ryba ma jeszcze siłę, dramatyczna szarpanina dobiega końca, można zatem obejść z wędziskiem końcówkę molo i ruszyć wzdłuż kanału.

– Tylko delikatnie – powtarzał kelner. – Jak najdelikatniej. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Ryba jeszcze dwa razy wyrывała się w głąb morza i mężczyzna musiał ją odciągać, lecz teraz już prowadził ją powoli wzdłuż molo w stronę restauracji.

– Co z nią? – spytał kelner.

– Żyje, ale trochęśmy ją sponiewierali.

– Proszę tak nie mówić. Nie, nie. Musimy ją wymęczyć. Całkiem wymęczyć.

– Na razie to ona wymęczyła mi rękę – stwierdził młody mężczyzna.

– Mam ją przejąć? – spytał z nadzieją kelner.

– Broń Boże.

– Tylko ostrożnie, ostrożnie. Delikatnie, delikatnie – powtarzał kelner.

Mężczyzna przeciągnął rybę obok tarasu restauracji i wprowadził ją do kanału. Płynęła tuż pod powierzchnią, ale jeszcze nie brakło jej sił i pomyślał, że może przeprowadzą ją wzdłuż kanału przez całe miasteczko. Wokół zaczęli się już gromadzić gapie, a gdy mijali hotel, dziewczyna wypatrzyła ich przez okno i wykrzyknęła:

– O, co za wspaniała ryba! Czekaj na mnie! Czekaj!

Z góry widziała wyraźnie rybę, jej rozmiar i pobłysk, a także męża ze zgiętą niemal w pół bambusową tyczką oraz ciągnący się za nim pochód. Gdy zbiegła nad kanał i dogoniła gapiów, pochód właśnie się zatrzymał. Kelner stał w wodzie na skraju kanału, a jej mąż kierował wolno rybę ku porośniętemu kępą wodorostów brzegowi. Gdy znalazła się na powierzchni, kelner pochylił się i wetknąwszy jej kciuki w skrzela, podniósł ją i wyszedł na brzeg. Była ciężka; przyciskał ją do piersi i przytrzymywał jej głowę podbródkiem, a trzepoczący ogon objął mu się o uda.

Mężczyźni poklepywali młodego człowieka po plecach i otaczali go ramionami, a kobieta z targu rybnego nawet go ucałowała. A potem zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go też sama dziewczyna.

– Widziałaś ją? – zapytał.

Podeszli wszyscy obejrzyć leżącą na skraju drogi rybę, srebrzystą jak łosoś, z połyskującą spizowo pręgą na grzbiecie. Piękną, wspaniale zbudowaną rybę o wielkich, pełnych życia oczach, oddychającą teraz powoli i nierówno.

– Co to takiego?

– *Loup* – odpowiedział. – Okoń morski. Mówią też na niego *bar*. Cudowna ryba. Takiej dużej jeszcze nie widziałem.

Kelner, który miał na imię André, otoczył Davida ramionami i ucałował go, po czym pocałował też dziewczynę.

– Tak musi być, madame – powiedział. – Tak naprawdę musi być. Nikt jeszcze nie złowił takiej ryby tego rodzaju sprzętem.

– Lepiej ją zważmy – orzekł David.

Dotarli do restauracyjki. Po ważeniu młody człowiek odstawił sprzęt i umył ręce, a rybę odłożono na niezbędny do przewiezienia makreli lodowy blok, który przyjechał w skrzyni *camion* z Nîmes. Okoń ważył nieco ponad siedem kilogramów. Na lodzie nadal pięknie się srebrzył, ale pręga na grzbiecie przyszarzała. Tylko w rybach oczach dało się jeszcze dostrzec pozory życia. Do portu wchodziły kutry poławiaczy makreli, a kobiety przeladowywały mieniące się na niebiesko, zielono i srebrno ryby do koszy i na głowach wносиły ciężkie ładunki do budynku portowego. Połów był bardzo udany, w mieście trwała więc radosna krzątanina.

– Co zrobimy z wielką rybą? – spytała dziewczyna.

– Zabiorą ją i sprzedadzą – wyjaśnił młody człowiek. – Tu jej nie przyrządzą, jest na to za duża, a twierdzą, że ćwiartować się jej nie godzi. Może trafi prosto do Paryża, do jakiejś dużej restauracji. Albo kupi ją ktoś bardzo zamożny.

– Tak pięknie wyglądała w wodzie – zauważyła. – I gdy André ją podniósł. Oczom nie dowierzałam, gdy zobaczyłam z okna ją, ciebie i idący za wami tłumek.

– Zamówimy sobie mniejszą. Są naprawdę pyszne. Małe okazy opieka się z masłem i ziołami. Przypominają trochę naszego skalnika.

– Nie mogę się doczekać – odparła. – Te nasze cudowne proste przyjemności.

Zaprzęgli już lunchu; dostali butelkę schłodzonego wina i popijali je, zającąc *rémoulade* z selerem, drobne rzodkiewki i domowej roboty marynowane pieczarki z dużego słoja. Okonia upieczono, na srebrzystej skórce odznaczały się ślady rusztu, na gorącym talerzu rozplływały się kawałki masła. Do ryby podano plasterki cytryny i świeży chleb prosto z piekarni. Sparzone smażonymi ziemniakami języki chłodzili smacznym winem nieznanego pochodzenia, lekkim, wytrawnym i dziarskim, chlubą restauracji.

– Rozmowa przy jedzeniu niezbyt nam się klei – zauważyła dziewczyna. – Czy ty się ze mną nudzisz, kochanie?

Młody człowiek parsknął śmiechem.

– Nie śmiej się ze mnie, David.

– Nie robię tego. Nie. Nie nudzę się. Nawet gdybyś się nie odezwała słowem, wystarczyłby mi twój widok.

Dolał jej trochę wina, uzupełnił też swój kieliszek.

– Mam dla ciebie prawdziwą niespodziankę. Nie wspominałam jeszcze o niej, prawda? – spytała.

– Jaka niespodziankę?

– Och, coś bardzo prostego i zarazem bardzo złożonego.

– Powiedz.

– Nie. Może ci się spodoba, a może okaże się nieznośna.

– Jak to niebezpiecznie brzmi.

– Bo jest niebezpieczne. Ale nie dopytuj. Pójdę do pokoju, jeśli pozwolisz.

Młody mężczyzna zapłacił za posiłek, dopił pozostałe w butelce wino i udał się na górę. Ubrania dziewczyny leżały złożone na jednym z vangoghowskich krzeseł, a ona czekała na niego w pościeli. Włosy rozsypane miała na poduszce i śmiały jej się oczy, a gdy uniósł okrywające ją prześcieradło, powiedziała:

– Cześć, skarbie. Smakował ci lunch?

Leżeli potem przytuleni, ona z głową na jego ramieniu, rozleniwieni i szczęśliwi; czuł, jak kręci lekko głowę i gładzi go nią po policzku. Włosy były jedwabiste w dotyku i nieznacznie tylko zmatowiały od słońca i morskiego powietrza. A później, z twarzą osłoniętą włosami, tak że sunęły po jego skórze, gdy się nad nim nachylała, zaczęła swobodnie badać jego ciało, delikatnie i z upodobaniem, po czym spytała:

– Kochasz mnie, prawda?

Przytaknął i cmoknął ją w czubek głowy, a następnie obrócił jej twarz ku sobie, ujął ją w dłonie i pocałował dziewczynę w usta.

– Och – powiedziała. – Och.

Po dłuższym czasie leżeli ciasno w siebie wtuleni, a ona zapytała:

– I kochasz mnie właśnie taką, jaka jestem? Na pewno?

– Tak. Jak najbardziej.

– Bo zajdzie we mnie pewna zmiana.

– Nie. Zmiana nie.

– Zajdzie. Ze względu na ciebie. I na mnie też. Nie będę udawać, że jest inaczej. Ale to w jakiś sposób dotknie ciebie. Na pewno, choć nie powinnam tego mówić.

– Lubię niespodzianki, ale w tej chwili chciałbym, żeby wszystko zostało po staremu.

– W takim razie może nie powinnam tego robić – stwierdziła. – O, jak mi smutno. To miała być taka cudownie niebezpieczna niespodzianka. Myślałam o niej od wielu dni i dziś rano podjęłam decyzję.

– Skoro naprawdę tego chcesz.

– Chcę – potwierdziła. – I zrobię to. Podobało ci się wszystko, cośmy do tej pory robili, prawda?

– Prawda.

– Dobrze.

Wyśliznęła się z łóżka i wstała, odsłaniając długie brązowe nogi i piękne ciało opalone równomiernie na ustronnej plaży, na której pływali bez strojów. Ściągnęła łopatki, zadarła podbródek i potrząsnęła głową, aż ciężkie płowe włosy uderzyły ją w policzki, a potem nachyliła się, a kosmyki opadły i zasłoniły jej twarz. Wciągnęła przez głowę pasiastą koszulkę, strząsnęła włosy na plecy, usiadła na krześle przed lustrem toaletki i nie spuszczać z nich krytycznego spojrzenia, zaczesała je do tyłu. Gdy opadły jej na ramiona, pokręciła głową do lustra. Włożyła spodnie, zapięła pasek i wsunęła espadryle w kolorze zgaszonego błękitu.

– Muszę pojechać do Aigues-Mortes – oznajmiła.

– Świetnie. Pojadę z tobą.

– Nie. Muszę jechać sama. Chodzi o niespodziankę.

Pocałowała go na do widzenia i zeszła, patrzył, jak wsiada na rower i jedzie pewnie i swobodnie drogą, a wiatr rozwiewa jej włosy.

Przez okno zaglądało już popołudniowe słońce i w pokoju zrobiło się za ciepło. Młody człowiek umył się, ubrał i zszedł na przechadzkę po plaży. Wiedział, że należałoby popływać, ale czuł zmęczenie, a po spacerze wybrzeżem i wiodącą w głąb łądu ścieżką wśród traw wrócił plażą do portu i wstąpił do

restauracyjki. Ponieważ po uprawianiu miłości czuł się czczy i wyjałowiony, zamówił *fine à l'eau* i sięgnął po leżącą w lokalu gazetę.

Ślub wzięli trzy tygodnie wcześniej i przyjechali pociągiem z Paryża do Awinionu, z rowerami, walizką pełną miejskich ubrań oraz plecakiem i chlebakiem. Zatrzymali się w porządnym hotelu, zostawili tam walizkę i sądzili, że dotrą rowerami do Pont du Gard. Wiał jednak mistral, dojechali więc z wiatrem do Nîmes, przenocowali w Imperatorze, po czym, nadal gnani silnym podmuchem, dotarli do Aigues-Mortes, a stamtąd do Grau-du-Roi. I tam już zostali.

Było cudnie, czuli się naprawdę szczęśliwi; nie wiedział wcześniej, że można kochać kogoś tak mocno, że nie dba się o nic innego i reszta świata mogłaby nie istnieć. Gdy brał ślub, trapiło go tyle spraw, ale tu nie myślał ani o nich, ani o pisaniu, ani o niczym innym, a tylko o tym, że jest z dziewczyną, którą kocha i z którą się ożenił, i że opuściła go ta osobliwa ostrość widzenia, która nachodziła go wcześniej po każdym stosunku. Ostatnio znikła bez śladu. Kochali się, a potem jedli, pili i znów się kochali. To była prosta rzeczywistość, a w żadnej innej nie czuł się dotąd naprawdę szczęśliwy. Pomyślał, że to samo można pewnie powiedzieć o niej, świadczyłoby o tym wyraźnie jej zachowanie, ale dziś wypłynął temat zmiany i niespodzianki. Ale może to będzie zadowolająca zmiana i miła niespodzianka. Być może za sprawą brandy z wodą, którą popijał podczas czytania lokalnej gazety, ogarnął go wręcz nastrój radosnego wyczekiwania.

Pierwszy raz w tej podróży poślubnej napił się brandy czy tam whiskey pod jej nieobecność. Ale przecież nie pracował, a jeśli chodzi o alkohol, to przestrzegał tylko jednej reguły: nigdy nie pił w czasie pisania ani przed nim. Dobrze by było

wrócić do pracy, ale wiedział doskonale, że niebawem i tak do niej zasiądzie i nie może zachować się jak egoista: będzie musiał jasno dać dziewczynie do zrozumienia, że ubolewa nad swoją potrzebą pisania w samotności i nie jest z niej dumny. Był pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu, że nie zabraknie jej własnych pomysłów, lecz niechętnie myślał o rozpoczęciu pracy akurat na tym etapie ich związku. Oczywiście nie mógł zacząć bez owej ostrości widzenia i zadawał sobie pytanie, czy ona ma tego świadomość i czy właśnie dlatego przesuwą granicę tego, co nieznanne, żeby jeszcze bardziej umocnić ich więź. Tylko w jaki sposób? Nie da się jej zacieśnić jeszcze bardziej, a bylejakosć im nie grozi. Teraz towarzyszyły im tylko szczęście i miłość, a potem niedosyt, nasycenie, i tak w kółko.

Przekonał się, że wypił już całe *fine à l'eau* i zrobiło się późne popołudnie. Zamówił sobie jeszcze jednego drinka i próbował się skupić na czytaniu gazety. Nie zaciekawiała go jednak tak, jak powinna, siedział więc zapatrzony w morze z ciężącym nad nim późnopołudniowym słońcem, gdy usłyszał jej kroki i chropawy głos:

– Cześć, kochanie.

Podeszła żwawo do stolika, usiadła, zadarła podbródek i zwróciwszy ku niemu pozłożoną, poznaczoną drobnymi piegami twarz, spojrzała na niego roześmianymi oczami. Gładkie, płowe włosy miała ścięte na chłopaka. Ostrzyżone całkiem bezkompromisowo, zaczesane do góry i ciężkie jak zwykle, ale o mocno skróconych bokach, przez co odsłoniły się jej przylegające do czaszki uszy. Wypięta pierś i powiedziała:

– Pocałuj mnie, proszę.

Pocałował ją, spojrzał na jej twarz i włosy i pocałował znowu.

– Podobają ci się? Dotknij, jakie gładkie. Dotknij z tyłu.

Dotknął z tyłu.

– Dotknij policzka i skóry przed uchem. Przesuń palcami po bokach, w górę. Widzisz, to właśnie niespodzianka. Jestem dziewczyną. Ale teraz też chłopakiem i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

– Siadaj, brachu – powiedział. – Czego się napijesz?

– O, dziękuję. Wezmę to co ty. Rozumiesz już, dlaczego to niebezpieczna gra, prawda?

– Tak. Rozumiem.

– Ale dobrze, że to zrobiłam?

– Może.

– Nie „może”. Nic z tych rzeczy. Przemyślałam to. Przemyślałam to starannie. Po co nam cudze normy? My to my.

– Dobrze się bawiliśmy, normy mi nie przeszkadzały.

– Proszę, przesuń mi jeszcze dłonią po włosach.

Zrobił, jak prosiła, a potem ją pocałował.

– Och, kochany jesteś. I podoba ci się moje nowe wcielenie. Czuję to i widzę. Nie musisz się zachwycać. Na początek wystarczy, że ci się podoba.

– Podoba mi się – potwierdził. – I masz tak cudownie kształtną głowę, że pięknie to wygląda z tymi twoimi kośćmi policzkowymi.

– A boki ci się nie podobają? – spytała. – To nie żadna lipa, żadna imitacja. To prawdziwa chłopięca fryzura, a nie fałszywka z salonu piękności.

– Kto cię strzygł?

– Fryzjer z Aigues-Mortes. Ten, który tydzień temu strzygł ciebie. Powiedziałeś mu wtedy, jaką chcesz fryzurę, a ja poprosiłam o dokładnie taką samą. Był bardzo uprzejmy i wcale się nie zdziwił. Ani nie zmartwił. Spytał tylko: dokładnie taką jak u tego pana? A ja na to: dokładnie taką. Czy to cię nie rusza, David?

– Owszem.

– Jak ktoś jest głupi, to weźmie to za dziwactwo. Ale my musimy być hardzi. Zresztą bardzo to lubię.

– Ja też. Zacznijmy od razu.

Siedzieli w restauracji, popijali *fine à l'eau* i patrzyli, jak w wodzie odbija się zachodzące słońce, a do miasteczka podpełza zmrok. Przechodnie nie przyglądali się nachalnie dziewczynie, bo oprócz tej dwójki w mieście nie było więcej cudzoziemców, poza tym przebywali tam już od niemal trzech tygodni, a dziewczyna była niezwykle urody i budziła powszechną sympatię. Normalnie wszyscy rozprawialiby o ogromnej rybie, ale ta druga sprawa też wywołała niemałą sensację. W tym rejonie Francji żadna przyzwoita dziewczyna nie strzygła się na krótko, a i w Paryżu należało to do osobliwych rzadkości i mogło uchodzić za piękne bądź przeciwnie – nie wróżyć niczego dobrego. O czymś świadczyć lub oznaczać tylko niepowtarzalną okazję do odsłonięcia wyjątkowo kształtnej głowy.

Na kolację zjedli krwisty stek z purée ziemniaczanym, fasolką i sałatą, a dziewczyna poprosiła o tavel.

– To wspaniałe wino dla zakochanych – orzekła.

Pomyślał, że zawsze wyglądała dokładnie na swój wiek, a miała lat dwadzieścia jeden. Zwykle napawało go to dumą, dziś jednak prezentowała się jakoś inaczej. Kości policzkowe rysowały się wyraźnie jak nigdy wcześniej, a gdy się uśmiechnęła, ścisnęło mu się serce.

W pokoju panował mrok rozjaśniony tylko nieznacznie światłem z zewnątrz. Wiatr znad morza przyniósł chłód, a z łóżka znikło prześcieradło, którym się okrywali.

– Dave, chyba ci nie przeszkadza, że zeszliśmy na złą drogę?

- Nie, dziewczyno.
- Nie mów do mnie „dziewczyno”.
- W dotyku jesteś dziewczyną.

Otoczył dłońmi jej piersi i w miarę jak rozsuwał i zsuwał palce, wyczuwał między nimi jej zuchwale sztywniejące sutki.

- One należą do mnie od zawsze – powiedziała. – A moja niespodzianka to coś nowego. Zostaw je. Nie uciekną. Dotknij moich policzków i karku. O, jakie to cudowne uczucie, ma w sobie coś świeżego i czystego. David, proszę, kochaj mnie taką, jaka jestem. Proszę, zrozum mnie i kochaj.

Przymknął powieki i poczuł, jak rozciąga się na nim jej wiotki ciężar, piersi przywierają do jego ciała, a wargi do jego warg. Leżał skupiony na doznaniach, ujęła go w dłoń i błędziła niżej, a on dopomógł jej oburącz i leżał w ciemności z pustką w głowie, czuł tylko ciężar i coś obcego w środku.

- I teraz nie wiadomo, kto jest kim, prawda? – zapytała.
- Tak.

- Ty się zmieniasz – stwierdziła. – Zmieniasz się. Naprawdę. Jesteś moją dziewczyną Catherine. Zmienisz się, zostaniesz moją dziewczyną i pozwolisz, żebym to ja cię wziął?

- Przecież to ty jesteś Catherine.

- Nie. Ja jestem Peter. A ty to moja cudowna Catherine. Śliczna, urocza Catherine. Jak miło z twojej strony, że się zmieniłaś. Dziękuję, Catherine, bardzo ci dziękuję. Proszę, zrozum. Proszę, przyjmij to do wiadomości i zrozum. Będę się z tobą kochać do końca świata.

Po wszystkim dopadła ich martwa pustka, ale nic nie zostało domknięte. Leżeli zetknięci nogami, ona z głową na jego ramieniu. Wszedł księżyc i w pokoju zrobiło się nieco widniej. Badała po omacku dłonią skórę na jego brzuchu i niżej, po czym zapytała:

- Nie uważasz mnie za zboczoną?
- Nie, pewnie, że nie. Od dawna o tym myślałaś?
- Nie cały czas. Ale dosyć często. Wspaniale, że się zgodziłaś.

Młody człowiek przygarnął do siebie dziewczynę, przytulił bardzo mocno i czując napór jej ślicznych piersi, ucałował ją w ukochane wargi. Trzymał ją w ciasnym uścisku i powtarzał w duchu żegnaj i jeszcze raz żegnaj i jeszcze żegnaj.

- Poleżmy wtuleni bez słowa i bez ruchu i nie myślmy o niczym - poprosił, a jego serce mówiło żegnaj Catherine żegnaj moja śliczna dziewczyno żegnaj i niech ci się wiedzie i jeszcze raz żegnaj.